

— Tam są drzwi od wielkiej sieni?

— Tak, panie.

O, straszne wspomnienia! Toż ja sam stałem także w tem miejscu już po jej przejściu tamtędy, Bogu dzięki, chociaż niedługo potem. A ktoś tam był przedemną! Ale kto? Czyżby Artur? Nie śmiałem spojrzeć na jego twarz, a gdy wreszcie spojrziałem, ujrzałem na niej tylko spokój zupełnie opanowanego człowieka... Zacząłem odczuwać straszną wątpliwość...

Wobec tego, że Karmela jest niewinną, któż może być winnym, jeśli nie on? Udręka, która mną szarpała, zelżała tylko, nie ustąpiła zupełnie. Jeszcze nas czekają cięższe przejścia. Prokuratora gotowa dowieść swego, a wtedy...

Ależ Moffet przecież — od czegoż Moffet? Zgotował nam jedną niespodziankę — czyż nie zgotuje nam dalszej?

Spokojniejszy już słuchałem dalej. O co teraz pyta mr. Fox?

— Miss Cumberland, czy pani może zaprzysiądz, że nie słyszała pani równocześnie kroków?

— Nie, panie, nie słyszałam.

— Albo, że nie widziała pani twarzy?

— Nie, panie, nie widziałam.

— Ze pani usłyszała tylko westchnienie?

— Westchnienie, czy też coś w tym rodzaju.

— I skutkiem tego pani przystała...

— Nie, nie przystałam.

— Poszła pani prosto dalej?

— Tak jest, natychmiast.

— I weszła pani do pokoju, gdzie jest telefon?

— Tak.

— I drzwi od tego pokoju pani zamknęła?

— Tak.

— Umyślnie?

— Nie, nieumyślnie.

— Czy sama pani te drzwi zamknęła?

— Nie wiem. Ale prawdopodobnie ja...

— Mniejsza o wyjaśnienia. Pani nie wie, czy pani je sama zamknęła, czy ktoś inny je zamknął?

— Nie wiem.

Słowa to były znaczące. Padły jak groty ludziom w mózgi.

— Miss Cumberland, pani mówiła, że telefonowała pani po policję.

— Telefonowałam do centrali.

— O pomoc?

— Tak, o pomoc.

— To trwało kilka minut, mówiła pani?

— Przypuszczam, ale nie wiem dokładnie. Świeca wydała mi się krótszą, gdy wychodziłam, niż wtedy, gdy wchodziłam.

A zatelefonowawszy, opuściła pani budynek?

— Wpierw jeszcze poszłam po moją torebkę.

— Czy widziała pani wtedy kogo?

— Nie, panie.

— A słyszała pani kogo?

— Nie, panie.

— Czy jeszcze raz widziała pani siostrę?

— Powiedziałam, że tylko pobieżnie spojrziałam na otomanę.

— Czy leżały tam poduszki?

— Tak, panie.

— Tak samo, jak je pani ułożyła?

— Już powiedziałam, że tego twierdzić z pewnością nie mogę.

— Czy byłaby pani zauważyła, gdyby je kto był poruszył?

— Nie, panie, gdyż tylko raz rzuciłam okiem i to pobieżnie.

— Więc zatem mógł je kto poruszyć i mógł je nawet ułożyć na nowo, a pani mogła tego nie zauważyć?

— Mogło tak być.

— Miss Cumberland, czy pani sama jedna opuszczała klub?

— Tak, sama jedna.

— Czy księżyc wtedy świecił?

— Nie, padał śnieg.

— Czy księżyc wtedy świecił, gdy pani poszła wyrzucić buteleczkę z okna?

— Tak, bardzo jasno świecił.

— Czy dość jasno, by pani mogła widzieć tereny golfowe?

— Nie patrzyłam na tereny.

— A gdzie pani patrzyła?

— Za siebie.

— Co tam było za panią?

— Umarła siostra. — (Ach, któż ten głos opisze!)

— Nic więcej?

— Nic.

— Niech mi pani daruje, miss Cumberland — nie chciałbym pani dręczyć — ale czy nie było tam, oprócz siostry, kogo lub czego w przyległym pokoju, co mogło spowodować, że się pani obejrzała?

— Nie widziałam nikogo, ale obejrzałam się, sama nie wiem, dlaczego.

— I wcale się pani nie odwróciła?

— Zdaje mi się, że nie.

— Wyrzuciła pani buteleczkę, nie patrząc wcale?

— Tak.

— A jak pani mogła wiedzieć, że ją pani wyrzuciła?

— Poczułam, że wypuściłam ją z ręki.



Brama cmentarna była zamknięta.

— Gdzie?

— Nad listwą okna. Otworzyłam okno, zanim głowę odwróciłam. Potem wymacałam listwę, a poczuwszy brzeg, otworzyłam palce.

Chwila tryumfu dla obrony. Przepytywanie na tym punkcie wyjaśniło tylko fakt tajemniczy — położenie buteleczki, znalezionej w splotach gałęzi dzikiego wina, tłómaczyło się teraz w sposób bardzo naturalny.

Mr. Fox dochodził dalej:

— Powiedziała pani, że włożyła pani płaszcz i czapkę brata, udając się do klubu. Czy nie zdejmowała pani tych rzeczy ze siebie?

— Przeciwnie, zostawiłam je w dolnej sieni.

— Gdzie w dolnej sieni?

— Tam na wieszadle.

— Czy miała pani zapaloną świecę?

— Nie, panie, wtedy nie.

— A jednak znalazła pani wieszadło?

— Odszukałam je po ciemku. Wiedziałam, gdzie się znajduje.

— A kiedy pani zapaliła świecę?

— Już po zdjęciu i powieszeniu płaszcza.

— A gdy pani na dół schodziła? Czy miała pani wtedy świecę?

— Tak, z samego początku. Ale już bez światła szłam po płaszcz i czapkę. Przypominam sobie, że macałam wzdłuż ściany. Nie wiem, co zrobiłam z lichtarzem i ze świecą. Miałam je, idąc po schodach; już ich nie miałam, nakładając płaszcz i czapkę. Ja wiedziałam, co ona z tem zrobiła. Upuściła je z ręki na marmurową posadzkę. Nigdy nie zapomnę tych ciemności, co pochłonięły wtedy tę twarz, pełną bólu i okropnej grozy.

— Miss Cumberland, pani jest pewna tego, że telefonowała pani po pomoc i że czyniąc to, wspomniała pani o „Szumiących Sosnach“?

— Zupełnie pewna. — O, jakież znużenie czuć było w tym głosie!

— A potem naturalnie zostawiła pani drzwi odemknięte, wychodząc z klubu?

— Nie, nie. Miałam klucz i zamknęłam drzwi na klucz. Ale robiłam to bezwiednie i dopiero idąc odwiązać konia, spostrzegłam, że trzymam klucze w ręku. Ale już nie wróciłam.

— Czy to ma znaczyć, że pani nie wiedziała, że pani drzwi zamknęła na klucz?

— Nie pamiętam, czy wiedziałam to wtedy. Przypominam sobie, że zdziwiłam się i przestraszyłam trochę, spostrzegłszy klucze. Ale już nie wracałam.

— A przecież pani telefonowała po policję?

— Tak.

— I zamknęła pani drzwi przed nimi?

— Wszystko mi było jedno — wszystko mi było jedno!

Nastąpiło jeszcze bardzo wiele pytań. Biedaczka omdlewała prawie ze zmęczenia, ale trzymała się, jak mogła; rzadko wpadała w sprzeczność i to tylko wtedy, gdy nie rozumiała pytania, albo z nazbyt wielkiego przemęczenia. Mr. Fox był względny, a mr. Moffet rzadko przerywał. Dla wszystkich było widocznem, że ta szlachetna dziewczyna pragnie najszczerzej prawdę zeznawać i wszyscy z nią sympatyzowali, nie wyłączając prokuratora. Trzeba jednakże było rozjaśnić niektóre fakty.

Okoliczności, związane z jej powrotem do domu, przetrząsnęto starannie, nic się jednakże nowego nie dało wykazać, ani też wiarygodność jej jako świadka nie została zachwiana. Prokuratora straciła wiele przez tego świadka, ale też i zyskała. Nie było już teraz najmniejszej wątpliwości co do faktu, że pierścionek był jeszcze na palcu ofiary w chwili, gdy uległa truciznie; wahające zaś przyznania Karmeli raczej wzmocniły, niż osłabiły możebność tego, że w fatalnym owym okresie był tam jeszcze obecny ktoś inny.

Tak oto stała kwestya, a ja już się spodziewałam, że przesłuchanie Karmeli ukończone, gdy prokurator znowu przybrał zwykłą przy badaniu pozę i rzucił nowe pytanie:

— Idąc do stajni, celem odprężenia konia, co pani zrobiła z torebką, którą pani ze sobą miała?

— Wyjęłam ją ze sanek.

— A potem?

— Położyłam ją gdzieś...

— Czy było tam co w tej torebce?

— Teraz już nic. Szczypce zostawiłam w klubie, a papier spaliłam. Nic więcej zresztą nie zabierałam.

— A jakżeż było z lichtarzem?

— Lichtarz miałam w kieszeni od płaszcza. Lichtarz także zostawiłam.

— Czy tylko to miała pani w kieszeni?

— Tak, lichtarz i świecę. Lichtarz włożyłam do jednej kieszeni, świecę do drugiej.

— I tych już pani nie miała z powrotem?

— Nie, zostawiłam i lichtarz i świecę.

— Tak, że kieszenie pani były puste, zupełnie puste, gdy pani wjeżdżała w bramę?

— Tak, panie, o ile wiem, tak. Nie zaglądałam do nich.

— I niczego pani w kieszeniach nie czuła?

— Nie, panie.

— Nic pani z nich nie wyjęła?

— Nie, panie.

(Dalszy ciąg nastąpi).